

Dobre kariery

Młodzi Wielkopolanie — sami o sobie

Jest ich w kraju ponad milion, a w naszym województwie około 110 tysięcy. Połowa z nich nie przekroczyła jeszcze 20 lat. Większość prowadzi wraz z rodzicami gospodarstwa rolne. Wielu jest już samodzielnymi gospodarzami, inni pracują w instytucjach wiejskich jako traktorzyści, księgowi, dyspozytorzy kółek rolniczych. Niektórzy pełnią funkcje radnych gromadzkich, sołtysów, zaś dziewczęta prowadzą świetlice, przedszkola, dziecińce, biblioteki, kluby. Co dziesiąty członek Związku Młodzieży Wiejskiej — bo o tej organizacji mowa — należy do partii. Mówi się więc słusznie, że podstawa żywotności ZMW jest jego silne wrośnięcie w rzeczywistość społeczną wsi, a tajemnicą wielu osiągnięć oraz przedsięwzięć gospodarczych i ideowo-wychowawczych — oparty na wspólnej pracy realizm.

Jacy są ci młodzi ludzie naszej wsi? Jakże są ich ideały, myśli, dążenia?

Oczywiście, próba odpowiedzi na te pytania grozi uproszczeniem, schematyzmem. Każdy bowiem człowiek stanowi odrębny świat życia wewnętrznego. Młodzież — jak wiadomo — nie grzeszy nadmierną głębią refleksji, ani zbyt dojrzałą indywidualnością. Jednocześnie pełno w niej buntu, niecierpliwości. Postawa buntownicza może jednak zawierać formę i treści zarówno konstruktywne, jak i wsteczne. Może np. przejawiać się w kulcie życia ułatwionego, konsumpcyjnego, w deprecjowaniu powszechnie uznawanych wartości. Ale równie dobrze może to być twórczy bunt przeciwko tradycyjnym metodom uprawy ziemi i hodowli, wstecznym treściom chłopięcego bytowania, obyczajowości, przeciwko zasklepieniu się w ciasnym kręgu własnej zagrody.

Mówią ludzie wsi

Jedno z pytań pisemnych na centralnej olimpiadzie wiedzy ZMW, która odbyła się w maju br. w Białejewku pow. Śrem, brzmiało: „Co zmieniłbyś w swoim środowisku, gdybyś został wybrany przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej?”

A oto fragmenty wypowiedzi wielkopolskich finalistów:

„Przed wszystkim nawiązałabym ścisłą współpracę pomiędzy organizacjami partyjnymi, młodzieżowymi i społecznymi, by zmobilizować lud-

ność do czynów społecznych, celem poprawy estetycznego oblicza naszej wsi. Na pierwszy ogień poszłaby budowa dróg. Postarałabym się o przydzielenie placu na boisko sportowe dla LZS. W różnych zacisznych miejscach poustawiałabym ławeczki, aby ludzie mogli odpocząć po pracy”. (Henryka Maślińska — Jeziorsko, pow. Turek).

„Gdyby mnie, młodego ZMW-owca, społeczeństwo Fabianowa wybrało swym przewodniczącym, rozpocząłbym pracę od zmeliorowania gruntów, aby przodująca wieś gromady mogła osiągnąć jeszcze wyższe plony. Drugim moim zadaniem byłaby budowa dróg. Nie dopuściłbym do tego, aby w bajorach i wybojach niszczyły się cenne sprzęty, jak to obecnie dzieje się na drodze wiodącej do PGR Goraszko. Postarałabym się również o właściwe wykorzystanie starej cegielni w Fabianowie. Obiekt ten niszczy już trzeci rok, a przecież można by usytuować w nim bazę kółka rolniczego, z tak potrzebnymi nam warsztatami”. (Stanisław Gola — Fabianów, pow. Pleszew).

„Moje wysiłki przewodniczącego GRN skierowałabym na usprawnienie załatwiania przez rolników bieżących spraw. Dażyłbym do tego, aby wszystkie sprawy związane z rolnictwem były załatwiane na miejscu. W GRN. Powołałabym kolektyw, którego zadaniem byłaby ścisła więź z gromadzką radą, celem organizowania wszelkich społecznych poczyną gospodarczych i kulturalnych”. (Andrzej Miękus — Golina, pow. Jarocin).

Przytoczone tu wypowiedzi, będące odbiciem konkretnych potrzeb danego środowiska, posiadają jedną wspólną cechę: jest nią — rzecz by można — skrajny realizm. Nie ma w nich ani śladu tak typowych dla młodego wieku chęci budowania „szklanych domów”, czy mierzenia sił na zamiary. Młodzi ludzie naszej wsi pragną kontynuować to, co robi się obecnie, tylko w sposób doskonalszy i przy pełniejszym udziale społeczeństwa.

Model społecznego działania

Blizsze obserwacje środowisk młodzieży wiejskiej pozwalają na sformułowanie wniosku, że model jej kariery życiowej uległ ostatnio widocznej metamorfozie. Coraz częściej wiąże się on z rodzinnym adresem, wynika z potrzeb swojej wsi i jej najbliższych perspektyw. Rzesze

młodych ciągną jeszcze do miast, ale już w sposób mniej żywiołowy niż w burzliwych latach industrializacji. Ten nowy model awansu stworzył zapotrzebowanie na inny niż przed laty typ społecznej działalności i treść społecznych propozycji adresowanych do młodzieży wiejskiej.

Rodzące się w rezultacie przemian gospodarczych zjawiska wymagają przede wszystkim zorganizowanego działania. Tylko w ten sposób można bowiem w sposób pełny, mądrze i stosunkowo najszybciej zapewnić zaspokojenie również indywidualnych potrzeb i dążeń. Taką właśnie zasadę przyjął w swej pracy z młodzieżą ZMW, stawiając za wzór do naśladowania model człowieka, który w praktyce dokumentuje gotowość niesienia własnego wysiłku dla dobra ogólnego, a tym samym i dla własnego szczęścia.

Wzorce do naśladowania

Na wsi wielkopolskiej można znaleźć setki przykładów nowoczesnych karier chłopów i dziewcząt, których losy życiowe sprzęgnięte zostały z pracą na roli. Tak np. Kazimierz Szuba z Miroszki pow. Gniezno zdobył popularność w wiejskim środowisku młodzieżowym całego kraju, jako mistrz Olimpiady Rolniczej 1966 roku. Jego osiągnięcia popularyzuje prasa, radio i telewizja. Pracuje on wraz z rodzicami i młodszym bratem Pawłem na 14-hektarowym gospodarstwie. W tym roku kończy zaoczne technikum rolnicze i wybiera się na zaoczne studia w WSR. Działając w zespole Klubu Młodego Rolnika wprowadzał w swym gospodarstwie zalecenia naukowców z Rejonowego Zakładu Doświadczalnego w Sielinku, dotyczące intensywnego nawożenia zbóż. Rezultat — 36 kwintali pszenicy z hektara nie najlepszej ziemi.

Członkiem tego samego klubu jest Jerzy Wolski z Nowej Wsi Niechanowskiej. Podobnie, jak jego kolega z Miroszki uczy się w technikum rolniczym, współpracując równocześnie z naukowcami z Sielinka. Plony 29 kwintali żyta z hektara lichej ziemi były tam prawdziwą rewelacją. Nawet najlepszym rolnikom tej wsi trudno jest bowiem przekroczyć barierę 20 kwintali.

Istną rewolucję w nawożeniu wwołał w swym środowisku młodzi rolnicy z Olszówki pow. Koło, Go-

Dokończenie na str. 2

Kłopoty Antoniego

Kiedyś na posiedzeniu Rady Nadzorczej jeden z radnych wystąpił z wnioskiem, by zbadać techniczne warunki pracy sprzedawców.

Prasa psioczy na sklepowych, że lekceważą klienta, dotychczas nikt się tą sprawą nie zajmował. Dyskusja była bardzo ożywiona. Wniosek przyjęto z aplauzem. W tej sprawie wypadło i mnie pojechać do spółdzielni w N. Nie bardzo miałem ochotę na ten delegacyjny wypad. Było to gdzieś w połowie grudnia, za kilka dni święta. Mróz trzymał niegorszy i śniegu leżało już sporo na drogach. Wieloletnie doświadczenie wskazywało, że w tym czasie lepiej się-

nie sklepy leżą na sumieniu, oczywiście nowe.

Zasmiał się znów, ale urwał natychmiast; zauważył widocznie, że kurczę się z zimna i nie okazuję ochoty do pogaduszek.

— Co tu będziemy sterczeć na mrozie, szepnął — chodźmy herbatę wypić. Wojtek ma jeszcze coś do załatwienia w mieście, wstąpi po nas.

Przypomniało mi się że rano wstałem zbyt późno i nie zdążyłem zjeść śniadania. Poszliśmy więc. Znów zaczął padać śnieg. Wielkie płaty opadały na twarz, osiadały na brwiach. Poprzez topniejące kryształki śniegu obserwowałem mego towarzysza. Był krepki, niezbyt wysoki, jak na swój wiek bardzo ruchliwy; przekroczył już chyba sześćdziesiątkę. On jakby zgadując moje myśli powiedział nagle:

Fragment opowiadania

— Trzydzieści lat siedzę w sklepie, zdawałoby się, że człowiek żeby zjadł na handlu; a tu ciągle trzeba się uczyć. Wykombinowali, że sklepowego powinno cechować poczucie humoru. Kupujący ma w sklepie trzymać się za brzuch ze śmiechu. Skąd ja wezmę dla każdego coś wesołego? Przeglądałem stare kalendarze, ale tam wszystkie kawały z brodą. Może pan wykombinuje jakiś podrechnik, chętnie bym kupił.

— To dobry pomysł, przyznałem, poczucie humoru u sprzedawców słabe.

— Żarty, żartami, zaśmiał się, ale handel nie jest dzisiaj łatwiejszy niż przed dwudziestu laty. Ludzie są coraz wybredniejsi, a towar, niestety, można powiedzieć, niewybredny. Oczywiście nie każdy... Powiedzieć co mam rolnikowi doradzić — gdy na przykład kupuje widły — żeby był z nich zadowolony i nie tracił niepotrzebnie pieniędzy.

— Ciągłe jeszcze z widłami macie kłopoty? Myślałem, że... Antoni nie zdążył odpowiedzieć, bo doszliśmy do restauracji i trzeba było otrząsnąć się ze śniegu. Usiedliśmy przy stole, na którym pojawiła się wkrótce biała kielbasa, chleb, herbata i dwie pięćdziesiątki. Spojrzałem pytająco...

— Piję przed jedzeniem, powiedział Antoni, podnosząc kieliszek.

— Więc za pomyślność i rozwój wiejskiego handlu — zaproponowałem.

— Niech się rozwija, mruknął, Ale wolałbym życzyć przemysłowi, żeby nadązał za potrzebami wsi.

— Dawniej mówiono, że wieś nie nadąza, wtrąciłem krąjąc kielbasę.

— Owszem mówiono, ja też mówiłem. Teraz tego nie powiem, po co szukać dziury w całym? Gdy się ziemi nie da nawozić, nie obrodzi. Wiadomo też, że do gnoju potrzebne są widły.

— Wiem, że kiedyś ich brakło, ale teraz chyba otrzymujecie ile trzeba.

— Ilość to nie wszystko, chodzi o jakość.

— Co im właściwie braknie? — zapytałem zaciekawiony.

— Albo są miękkie albo za twarde.

— I pan to rolnikowi mówi przy zakupie?

— Oni znają się na tym lepiej ode mnie. Chwytają za rogi i zginają. Jeżeli twarde to pękają, a miękkie pozostają zgięte.

— Prosty sposób, nigdy bym na to nie wpadł, powiedziałem. I dużo odpada tych miękkich i twardych?

— Sporo — sporo, niestety hartować nas nie potrafią.

— Może surowiec otrzymują niewłaściwy?

— Diabli wiedzą — nie jestem kowalem tylko handlowcem. Powiedz pan, co ja mam z tym w sklepie robić, radzić żeby kupili, czy odradzać?

Teraz ja nie zdążyłem odpowiedzieć na trudne pytanie, bo akurat przyjechała Nysa.

Zajeliśmy miejsca na ławie obok stołu nieudanych widel i kilku skrzynek. Kierowca zatrzasnął drzwi i zasiadł za kierownicą.

Gdy wyjechaliśmy za miasto było już kolo południa. Po śniadaniu zakrapionym wyborową czulem się przyjemnie, mimo ciasnoty panującej w zamkniętym pudle. Koliber kierowcy wygrał niezmordowanie. Antoni opowiadał jak to przed laty delegacja z gromady w sprawie widel do ministra trafila. O widłach i cylindrach do lamp, było wtedy po wsiach głośno. Rolnicy krzykali na wiejskich zebraniach, że mierzwę rękoma rozrzucają, więc walne zgromadzenie uchwaliło, żeby jechać do Warszawy.

— Uchwala rzecz święta, więc pojechaliśmy, bo i mnie zabrali jako eksperta. Na odwagę lykneliśmy coś nieco w restauracji „Pod złotą rybką” na Nowym Świecie i zaczęło się kolegowanie — wpięrow po biurach CRS, a potem w ministerstwie. Przyjmowali nas grzecznie, nie można powiedzieć, nawet długo nie czekaliśmy. Gdy prezes wyklaro-

Dokończenie na str. 2

Przepraszam, czy można?

I.

Pewien tata — było to całkiem niedawno temu na Śląsku — zaniepokojony drogimi ubiorami nieustalonego pochodzenia, jakie od pewnego czasu przywdziewała córka, nie mogąc od latorośli uzyskać na ten temat przekonujących wyjaśnień, zdecydował się rzecz przedłożyć milicji. Wkrótce tajemnica nagłego, a niewytłumaczalnego dla głowy rodziny, skoku stopy życiowej córki — objaśniła się w całej swej prostocie. Pannica zeznała, iż ciuchy nabywała z pokaźnej sumy, wygranej niedawno w toto-lotka. Sprawdzono — zgadzało się. Happy end.

II.

Jak donoszą prasa, radio i telewizja — czasowiska od morza po góry pękają w szwach, o lódko równie trudno w Swinoujściu jak w Zakopanem, w Kudowie czy Giżycku. Zarazem tego lata może bardziej jeszcze rzuca się w oczy odmłodzenie czasujących tłumów. Cóż, demograficzny wyzór dorasta i, dodajmy, poczyną prowadzić współczesny tryb życia, którego jednym z kanonów jest turystyka i letnie oderwanie od stałych miejsc bytowania.

Toteż niebawym powodem u młodych cieszą się wszelkie obozy, wczasy wędrownie, spławy, zjazdy i rajdy, a także — rzekłoby się — „tradycyjne” wczasy FWP. Ale niemato też w miejscowościach czasowych reprezentantów młodego pokolenia, głównie pici meskiej, nie mieszkających w domach związkowych,

ani w ośrodkach zakładowych, czy przybytkach PTFK.

I rzecz nie w tym, naturalnie, iż stają oni gdzieś kątem; chodzi o to, że owe grupki młodzieniaszków przebywają w miejscowościach czasowych długo, zastanawiającego długo jak na hipotetyczną zawartość ich kieszeni; zwłaszcza, iż (charakterystyczne) raczej obierają sobie siedziska w miejscowościach modnych, reno-

Piotr Życki

A CO NA TO MAMA Z TATĄ

mowanych, a co za tym idzie — drogich.

III.

Polscy bitnicy na gwałt starają się upodobnić do swych prekursorów z Zachodu. Jak długie nasze Wybrzeże, od Swinoujścia po Krynicę Morską, zobaczyć można tego lata w wyjątkowym nasileniu osobników, których czupryny osiągnęły wzory z czasów Robin Hooda a stan odzieży i ogólno-higieniczny wydaje się być szybko dostrajany do tego odległego okresu.

Usilnie proszę nie wmawiać mi, że jestem przeciw swobodzie młodych, a zwłaszcza przeciwko długowłosom. Proszę bardzo, jedno i drugie — byle nie ze szkoda dla innych. A, niestety, niektóre grupki owych indywidualistów, swoim bezceremonialnym, częstokroć chamskim, hulaśliwym

sposobem bycia, czepaniem środków materialnych z niewiadomych źródeł oraz aktywnym demonstrowaniem poparcia dla dewizy „wielcy ludzie żyli w brudzie” — zakłócają porządek wczasowej mikrosocjeczności.

A ludzie na wczasach pragną właśnie nie zakłóconego wypoczynku. I czy to będzie eksperymentka z Gliwic, której z pokoju w domu FWP świństwo wło-

ski kostium kąpielowy, psując jej właściwie cały urlop, czy urzędnik z Płocka, pozbawiony w trybie nagłym na plaży umiłowanego „Guliwera”, czy posiadacz „Moskwicza” z wybitą wieczorową porą na parkingu szyba — wszyscy oni, ogół urlopowiczów, pragną likwidacji wczasowych mętów.

IV.

Na pewno w miejscowościach winocznikowych „grandzą” nie tylko młodzi. Ale, jak wynika z kronik milicyjnych, odsetek ich jest niemały. Nie jestem za roztaczaniem przez rodziców nadmiernej, drobniagowej kurateli nad dorastającą młodzieżą. Chcę jednakże zwrócić uwagę na konieczność okazywania przez opiekunów przynajmniej minimum zainteresowania bieżącymi losami młodych.

Bo, skłonny byłbym sądzić, że ten i ów tata z mamą, odpłynięcie w siną dal syna czy córki wita nie bez zadowolenia. Mają ich z głowy i kwita. Niby, że należy się młodym swoboda, a oni, rodzice, muszą być postępowi...

Ale, proszę mamy i taty, nie umawiać mi, że to jest w porządku, jak wam z horyzontu znika chłopak na miesiąc w jedynych dzinsach i z jedyną stówką w kieszeni; a wy na to nie, że nie wiadomo gdzie, nie wiadomo jak i nie wiadomo za co żyje? Bo wam wygodnie sobie umawiać, albo wierzyć bezkrytycznie w niektóre listowne doniesienia, że naturalnie — autostopem, że Jureczek, czy Alunia, w PGR-ze, przy żniwach, parę złotych dorobili? Niech się zaprawiają do życia, niech się uczą samodzielności, jak my byliśmy w ich wieku i tak dalej, a zresztą jest milicja, to niech ona się martwi, tak?!

V.

Mama i tata — nieraz najczarniejsi — też cudów nie działo, do prawda. Ale to, że nie potrafią dziać cudów, i że nie zawsze ich życzliwe zainteresowanie młodymi pomaga — nie znaczy, by w ogóle troska rodziców o dorastające dziatki była zbędna. Na pewno błędem byłoby też sądzić, że wczasowe kwiatuszki rekrutują się wyłącznie z rodzin, gdzie brakło nad młodymi opieki.

Rzecz w tym, by krytycznie patrzeć na niektóre grupy młodych, nie zapominać o swoich rodzinnych, czy społecznych, obowiązkach. Bo chyba minimum zainteresowania dziećmi ze strony rodziców można oczekiwać. W końcu o czyje dzieci, czyj spokój i czyja przyszłość tu chodzi?!

Przemysł czy rolnictwo?

Pytanie to w odniesieniu do Trzeciego Świata brzmi nieco paradoksalnie. Gdyby je postawiono przed dziesięć czy piętnaście laty, odpowiedź nie nastęrczałaby większych trudności. Brzmiałaby: przemysł. Dziś odpowiedź taka, jeśli by jej udzielono, byłaby obwarowana różnymi uwagami, zastrzeżeniami, dodatkowymi warunkami.

Obecna sytuacja w zakresie produkcji żywności w Trzecim Świecie jest wyjątkowo skomplikowana, wymagając zarówno bieżącej pomocy z krajów bogatych, jak i długofalowej konsekwentnej polityki rolnej rządów krajów rozwijających się.

Przypomnijmy na początku dwa istotne fakty, stanowiące dobre wprowadzenie do problemu. Najpierw, że — Trzeci Świat jako całość jest importem żywności, mimo że w przeszłości, wskutek narzuconego mu międzynarodowego podziału pracy, kraje tego obszaru dostarczały na rynki światowe produkty rolnictwa i to za równo artykuły żywnościowe, jak i surowce rolne. Pomoc w zakresie żywności dla krajów rozwijających się nie jest zjawiskiem ani sporadycznym; ani też mało ważnym. Niekiedy bez tej pomocy znalazłyby się w sytuacji wręcz tragicznej. Są to takie kraje, jak: Indie, Indonezja, Pakistan, ZRA, Brazylia, Chile, Turcja i wiele innych. Ponad połowa ludności krajów Trzeciego Świata pilnie potrzebuje pomocy żywnościowej.

Po drugie — produkcja rolna w krajach nierozwiniętych, a ściślej — tempo przyrostu produkcji rolnej, podobnie zresztą jak produktu społecznego, wykazuje tendencję spadającą. Jest to wyraźnie widoczne w przytoczonej poniżej tabeli. Z wyjątkiem Afryki, globalne przyrosty produkcji rolnej się zmniejszają, tym bardziej w przeliczeniu na jednego mieszkańca; w tym ujęciu dotyczy to także Afryki.

A oto dane obrazujące tempo wzrostu produkcji rolnej w ciągu ostatnich dziesięciu lat (w procentach):

Region	1955-1960	1960-1964
Afryka	1,9	2,7
Ameryka Łacińska	3,9	1,4
Azja Wschodnia	2,8	2,5
i Półd.-Wschodnia		
Bliski Wschód	4,5	2,7

Dobre kariery

Dokończenie ze str. 1

raju i Sokołowa pow. Czarnków, Czarniejewa pow. Gniezno i wielu innych. Wszyscy ci młodzi ludzie wybrali rolnictwo jako swój zawód, doskonałą go nieustannie, wiążąc z nim swoje losy. Swych osiągnięć nie chowają pod korcem, lecz propagują wśród miejscowych rolników sprawdzone przez siebie naukowe metody uprawy i hodowli.

Zjawiska, o których mowa nie dają oczywiście pełnego obrazu współczesnej wsi, gdzie stare przeciwstawia się jeszcze nowym procesom. Jednak w aktualnej sytuacji burzliwych przemian zarówno w ekonomice, jak i w sferze ludzkiej świadomości, liczy się przede wszystkim tendencja, główny kierunek. A te są jednoznaczne: odpowiadają najważniejszemu na dziś i jutro zapotrzebowaniu społecznemu.

FELIKS BIŁOS

Najlepiej znana jest u nas tragiczna sytuacja żywnościowa Indii. War to przypomnieć, że jest to kraj, którego ludność przewyższa liczebnie dwa razy całą Afrykę.

Problem żywnościowy — bariera uprzemysłowienia

Ten stan musi budzić szereg refleksji, gdyż w porównaniu z rozwojem gospodarczym Europy w XIX i XX stulecie jest on trochę niezrozumiały. Dlatego, nie wdając się w zbyt szczegółowe rozpatrywanie zagadnienia, należałoby przypomnieć kilka faktów z historii, w celu podkreślenia jego wagi w warunkach dzisiejszych. Start do przemysłowego rozwoju, zwłaszcza na zachodzie Eu-

Problemy Trzeciego Świata

ropy, był poprzedzony rewolucją w rolnictwie, a więc wzrost produkcji rolnej był charakterystyczny dla tej epoki. Ponadto w wieku XIX, kiedy popyt w związku z szybką urbanizacją zaczął wzrastać, kraje zachodniej Europy importowały tanie zboże najpierw z Europy wschodniej i południowej, a następnie z Ameryki. Na drodze do wysokiego poziomu przemysłowego w dzisiejszych rozwiniętych krajach kapitalistycznych nie występowała bariera produkcji rolnej, a zwłaszcza produkcji żywności.

W całkowicie odmiennej sytuacji znajdują się dzisiejsze kraje Trzeciego Świata. Start do uprzemysłowienia w wielu z nich następował w sytuacji, kiedy w rolnictwie praktycznie rzecz biorąc, nie zaszły żadne zmiany w metodach wytwórczych; inaczej mówiąc, rolnictwo tych krajów nie przeżyło żadnej rewolucji w produkcji. Również w minimalnym stopniu naruszone zostały tradycyjne struktury agrarne. Rolnictwo tych krajów pozostaje nadal w znacznej mierze w okowach feudalnych, półfeudalnych i plemiennych powiązań, co sprawia że nawet pewne nasycenie rolnictwa przemysłowymi środkami produkcji nie daje zbyt dużych efektów.

W przeszłości znaczna część ziemi — za pomocą najrozmaitszych środków — została wydzielona z tradycyjnych upraw i wykorzystana dla upraw eksportowych, jak bawełna, kaczuk, juta, kawa, kakao i wiele innych, które dawniej bądź w ogóle nie były uprawiane, bądź też były uprawiane w nieznacznych ilościach. Ekspert tych surowców rolnych jest dla wielu krajów Trzeciego Świata jedynym (jeśli nie liczyć kredytów i pomocy) źródłem dewiz; ponieważ na rynkach światowych popyt na te towary jest niewielki, to z natury rzeczy spadają ceny. Chcąc te straty zrekomensować, kraje Trzeciego Świata zwiększają produkcję i eksport tych surowców.

Toteż przytoczone wyżej dane o wzroście produkcji rolnej w pewnym sensie wprowadzają w błąd, gdyż łącznie traktuje się tam rolnicze produkty eksportowe i artykuły żywnościowe przeznaczone na rynek wewnętrzny. Stąd w istocie stopa

przyrostu żywności pozostaje poniżej ogólnego wskaźnika wzrostu produkcji rolnej.

Z tego przeglądu i z tych porównań historycznych wynika pewna bardziej ogólna konkluzja: póki problem żywnościowy w Trzecim Świecie nie będzie rozwiązany, póty nie możliwe będzie szybkie uprzemysłowienie.

Zboże zamiast maszyn

Dynamika rozwoju produkcji przemysłowej była jednak w Trzecim Świecie w ostatnich kilkunastu latach poważna, choć daje się zaobserwować pewną tendencję spadkową. Obrazują to dane dla całego Trzeciego Świata: roczna stopa wzrostu produkcji przemysłowej wynosiła w latach 1955—1960 8,1 proc., a w latach 1960—1964 — 7,0 proc. Dla Afryki północnej roczna stopa wzrostu w latach 1950—1963 wynosiła 9,5 proc. Prawdopodobnie przyczyną spadku produkcji przemysłowej były bardzo różne. Jednakże prawie wszędzie występowało zjawisko zmniejszania importu dóbr inwestycyjnych na rzecz importu artykułów żywnościowych. Dotyczy to zwłaszcza wielkich importerów zbóż, a więc tych państw Trzeciego Świata, które odznaczają się wielką liczbą ludności.

Jakie zatem wnioski wypływają z oceny bieżącej sytuacji krajów Trzeciego Świata, a w każdym razie większości z nich? Wydaje się, że swoista rekomendacja teoretyczna i praktyczna, jakiej udzielił ekonomista krajów rozwiniętych, w tym przede wszystkim socjalistycznych, w początkach lat pięćdziesiątych musi ulec modyfikacji. Propozycja ówczesna brzmiała: rozwijać produkcję przemysłową ze szczególnym uwzględnieniem przemysłu ciężkiego. Dziś zaś zalecenia muszą być inne: należy rozwijać produkcję przemysłową o różnym profilu, w zależności od możliwości, wielkości kraju itp. oraz przywiązywać wielką wagę do rozwoju produkcji rolnej, dokonując jednocześnie istotnych zmian w strukturze agrarnej. Jest to zalecenie bardzo trudne do zrealizowania w praktyce. Brak środków, kwalifikowanych kadr, opór klas posiadających itp. tworzą zespół warunków, który długo jeszcze będzie określał trudność rozwoju krajów Trzeciego Świata.

Olgierd Błazewicz

O ludziach nowych i autochtonach

Na pozór książka^{*)} wydaje się kontynuacją wielkich „rodzinnych” powieści realistycznych dziewiętnastego wieku — typu Galsworthy'ego, Zola, Reymonta. Pokazuje życie kilku pokoleń ludzi osiadłych w zamkniętym środowisku małego miasta, zmiany jakie w ich psychikę wprowadza czas i życie. Od tamtych powieści różni ją jednak nuta dokumentalna, reportażowa. Bohaterami tej książki są w końcu nie tyle pojedynczy ludzie, co samo miasto, w którym żyją, środowisko, polityka, która ich ciągle otacza.

O ile jednak w tamtych powieściach wszystko to, co nazywamy skrótem wartości, poznawczą znajomość gdzieś na drugim planie, wynikało z realiów, z atmosfery, z tła epoki — tutaj wysuwa się na plan pierwszy, staje się nadrzędną tezą powieści. Pauksza jak gdyby nie wierzy w tę książkę w pełni w swoje możliwości pisarza. Obraz życia buduje głównie z opisów sytuacji, z kronik typowych wydarzeń, z maksymalnego zagęszczenia informacji i obiektywizujących relacji. Osłabia tym w jakiś sposób artystyzm, w wielkim stylu zamierzony powieści, która nabiera — przez to cech szerokiego reportażu, barwnej opowieści z przeszłości. Zamienia się w książkę, która przede wszystkim jest hołdem złożonym bohaterom walki o zagospodarowanie ziem zachodnich. Jest to jednak — zdaje się — całkowicie zgodne z credem pisarskim autora.

Pierwsza część książki nasuwa skojarzenia z poprzednią „osadniczą” powieścią „Po burzy jest pogoda”. Ta sama sceneria ziem zachodnich w pierwszych miesiącach i latach po wojnie, ten sam rejestr zdarzeń, postaw: walki z Niemcami, z szabrami, trudne początki gospodarowania bez maszyn, ludzi, narzędzi, gwałty, rozboje, narodziny miłości do tej ziemi. Są tu jednak sceny i zdarzenia z punktu widzenia konstrukcji powieści chyba niepotrzebne.

Druga część jest ciekawsza, pokazuje życie tego samego miasta po latach prawie dwudziestu. Pokazuje co ważniejsze, ślady jakie w psychice bohaterów powieści pozostawił

tamten okres, związek pewnych (pozwornie nieistotnych w lekturze pierwszej części książki) faktów z tymi, o których teraz się dowiadujemy. Przybliża to nam bohaterów, pozwala na natłok faktów, zdarzeń i osób odnaleźć kilka postaci żywych, pełnokrwistych. Wczuwamy się w ich udręki, radości, bóle. Nie są to jednak główni bohaterowie powieści. Postaciom Budniaka, Haliny, Włazy brakuje mimo wszystko jeszcze cech indywidualnych: są to postacie — typy, reprezentantki takich postaw i biografii w ogóle. Największą uwagę skupiają inni, pozornie mniej ważni bohaterowie powieści. Starzy ludzie, autochtoni i Niemcy, ci, którzy z trudem aklimatyzują się w nowej społeczności, ciążą ku przeszłości, analizują swoje bóle i obsesje: Wiktor Sroda, stara wdowa Blincke, dzieci rybaka Bejnarowicza.

Problem autochtonów i w ogóle problem niemiecki należy do najciekawszych w powieści. Pauksza z dystansu dwudziestu paru lat pisze tutaj szczerze; dostrzega trud i heroizm osadnika, dostrzega też pustkę, jaką wytworzyła się wokół niektórych środowisk autochtonów, ich drogę do polskości.

Autor książki „Przejaśnia się niebo” od z górą dwudziestu lat jest pisarzem związanym głównie z jednym tematem, pierwszą swą powieścią „Trud ziemi nowej”. W ostatnim roku na imponującą półkę swych książek dorzucił dwie nowe. Najnowsza, jest jak gdyby podsumowaniem wieloletnich zmagani z tematem, próbą epickiej, szerokiej syn-tezy. Właśnie ta epika jednak jest przeszkodą, o którą przynajmniej po części rozbijają się walory literackie powieści. Od Paukszy możemy chyba jednak oczekiwać jeszcze jednej książki o tej problematyce. Już bez bagażu rodzajowości i reportażu Książki, nie o losach i biografii ludzi nowej ziemi, lecz o ich psychice, duszy, wnętrzu. Sądzę, że Pauksza, splaciwszy dług pamięci oraz dokumentalistyce — taką właśnie książkę napisze.

*) Eugeniusz Pauksza „Przejaśnia się niebo”, powieść w dwóch tomach: „Zabite miasto” i „Kwiaty na pogorzel”. Wydawnictwo Poznańskie, 1967. Stron 522 i 550. Cena zł 75.

Kłopoty Antoniego

Dokończenie ze strony 1

wał o co chodzi, okazało się, że oni o tych widłach wiedzą lepiej od nas. Trochę nam głupio było, bo myśleliśmy, że tam u góry są odenwani od terenu, a tu wyszło, że orientują się. Pan minister, chłop widać wesół, powiedział na zakończenie:

— Nie przejmujcie się, bo już zaradziłem w tej sprawie; dostaniecie widły z Czechosłowacji i Jugosławii. Kraje te socjalistyczne, a nasz przemysł rozwinięty produkcję za dwa lata. Trzeba do fabryki jeszcze jeden agregat kupić, a o dewizy jak zwykle niełatwo.

Podziękowaliśmy obywatelowi ministrowi za wyjaśnienie i z tej radości, że widły będą posłisłymi coś przetrząć. Cośmy tam zjedli i wypili już dzisiaj nie pamiętam. Rachunek był okrągły.

Opowiadanie urwało się nagle, bo

wóz zaczął rzucać. Kierowca zahamował ostro i wpadłem na opowiadającego sąsiada. Nim zdążyłem się wyprostować samochód stanął. Chłopak zrobił ruch jakby lejące sięgnął i gwizdnął przez zęby.

— Diabli gumę wzięli, mruknął Antoni.

Stanęliśmy obok chromego koła wpadając się w starą, wiele razy wulkanizowaną oponę.

— Zapasowej nie masz? zapytał Antoni.

— Wściecie przecież jak jest z oponami — moralnie i fizycznie zużyte.

— Też cię pokusiło, żeby drogę skrócić — kto nas tu znajdzie?

— Tylko spokój może nas uratować, mruknął chłopak.

Staliśmy więc na pustej drodze, przystupując i zacierając ręce. Koliber wy-

grywał „Opowieści lasku wiedeńskiego”. Dokoła była białota, nie wiadomo gdzie ziemia, gdzie niebo. Wszystko przesłonięte przez zamieć, zasypane śniegiem, zwichrzone i skłębione. Fale wiatru pędziły przed sobą chmury śnieżnego pyłu.

— Woli pan słuchać huczenia wichru, czy walców Straussa? krzyknął mi Łokomy w ucho.

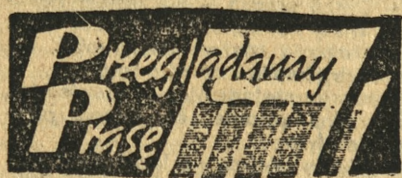
— Jedno i drugie jest piękne — odkrzyknąłem.

— Napiszcie więc coś ciekawego o ludziach, którzy życie swoje związali z poszukiwaniem towaru, żeby Polacy na wsi mogli żyć wygodniej i z ziemi więcej wyciągnąć.

— Może i napiszę — na pewno napiszę, przyrzekłem. Wście to ciągle jeszcze inny świat.

— I życie tu nieciekawe, prawda? — mruknął Antoni ironicznie.

TADEUSZ BECELA



Jeszcze lato, gorsze co prawda niż w wyjątkowo upalnym tegorocznym lipcu, więc i tematy czasowe nadal są w modzie. Każdy by chciał po całorocznej pracy godziwie wypocząć, ale nie zawsze może tak jakby chciał lub tak jak powinien. Oto w „Polityce” znajdujemy list jednego z czytelników, dla którego czasów — jak pisał — zabrakło i przebywa w Kolobrzegu prywatnie.

„Męczymy się — pisze — i czekamy w żłte zorganizowanych jadłodajniach, drogo płacimy za pokój. A obok wspólnie gmachy bogatych zakładów pracy, luksusowe campingi. Czy to sprawiedliwe, żeby jedni pracownicy mieli tak różne warunki od drugich? Proponowałbym, aby budować jednolite domy czasowe pod jednym państwowym zarządem i ogólnie rozdzielać miejsca, bo wszyscy nie mogą pracować w bogatych zakładach i ministerstwach, a do związku zawodowego należą wszyscy.”

Takie są m. In. opinie tych, którzy chcieliby jeździć na wczasach a nie otrzymują przydziału. Ze takich osób jest sporo — o tym przekonuje Zdzisław Pigoń na łamach „Życia Gospodarczego” w artykule:

ROBOTNIKI NA WCZASACH

Autor zastanawia się nad tym, co w ostatnich latach spowodowało zahamowanie wzrostu udziału robotników wśród korzystających z Funduszu Wczasów Pracowniczych. Pośród przyczyn tego zjawiska autor dostrzega takie, jak: na ogół krótsze i często dzielone urlopy robotników, jak to, że liczna grupa robotników prowadzi jednocześnie własne gospodarstwa rolne lub ma ogródki działkowe i tam spędza część bądź cały urlop. Ponadto np. budowlani z reguły nie korzystają z wczasów, bo swoje urlopy przeznaczają na wykonywanie dodatkowej pracy w budownictwie indywidualnym. Dotyczy to także robotników rolnych, transportowców i drogowców, robotników przemysłu spożywczego i cukrowniczego. Do tego dodać należy i fakt, że skierowania przydzielane radom zakładowym trafiają z natury rzeczy do rąk pracowników umysłowych, którzy bardziej uświadamiają sobie wartość wypoczynku wczasowego.

Często — pisze Pigoń — nie cały odsetek skierowań przeznaczonych dla robotników trafia do ich rąk. Potrzebna

jest więc niewątpliwie szersza społeczna kontrola rozdziału wczasów. Obserwacje autora artykułu wskazują, że nieprawdziwa jest teza, wysuwana w latach przeszłych o nieświadomości sobie przez robotników wartości wynikających z korzystania z wczasów. Potwierdzeniem tego jest zarazem widoczne zwłaszcza w ostatnich latach preferowanie wśród robotników wczasów rodzinnych. Świadczy o tym coraz większy rozwój wczasów zakładowych, z których korzysta większy odsetek robotników niż w FWP.

W oparciu o tę analizę, autor formułuje wnioski ogólne, w których stwierdza, że w okresie, gdy podaż usług wczasowych nie zaspokaja jeszcze popytu na nie, należy stworzyć szersze możliwości uprzywilejowania określonych grup społecznych potrzebujących intensywnego wypoczynku. Tą uprzywilejowaną grupą powinni być robotnicy.

Niebawem zakończy się okres wczasowo-wakacyjny i znowu staną przed wszystkimi codzienne sprawy pracy lub nauki. O jednej z takich spraw pisze Tadeusz Kolodziejczyk w „Polityce”.

PORTFEL STUDENTA

Autor analizuje zawartość studenckiego portfela, który z grubsza składa się z pomocy finansowej rodziny, stypendium państwowego lub fundowanego, własnych zarobków z tytułu różnych prac. Kolodziejczyk zajmuje się stypen-

diami. Ma do nich prawo student, jeśli w jego rodzinie zarobki na głowę zawarte są w granicach 400—800 zł. Słyszysz się na ogół, że pieniędzy wystarczy, że każdy student kwalifikujący się do otrzymania pomocy stypendialnej, powinien taką pomoc otrzymać. Z drugiej strony z pomocy stypendialnej korzysta ostatnio co roku mniejszy odsetek studentów. Autor sygnalizuje, że zmniejsza się systematycznie liczba osób kwalifikujących się do pomocy, a dzieje się to nie dzięki wzrostowi zamożności rodzin, lecz w sposób sztuczny.

„Kryteria materialne — pisze autor — (owe przedziały przychodowości) ustalone zostały w 1959 r. i obowiązują niezmienne do dziś. A tymczasem w gospodarce kraju nastąpiły w ostatnich 7 latach pewne zmiany, których skutki dla środowiska studenckiego są ujemne. Kilkakrotnie regulacje cen, a przede wszystkim podwyżka cen mleka i przetworów w 1963 r., zmiana opłat w lokalach zbiorowego żywienia oraz reforma czynszów w 1965 r. obciążły także kieszenie studenckie. O ile jednak zmianom cen towarzyszyło w stosunku do ogółu pracujących, wyrównanie kosztów utrzymania drogą specjalnych dodatków, czy rekompensat w innych towarach, to środowisko studenckie nie zostało nimi objęte, choć w równym stopniu ponosiło zwiększone koszty utrzymania.”

Przy tym notujemy szybszy wzrost płac nominalnych niż realnych, a kryteria

pomocy stypendialnej, ustalone są na podstawie płacy nominalnej.

Stąd postulat autora, zawarty w konkluzji artykułu:

„Jakby nie oceniać zawartości studenckiego portfela, warto mieć na uwadze, by zapobiegać się on zgodnie ze wzrostem przeciętnie realnych płac i związany był z osobistym wkładem pracy i wysiłku jego właściciela. Tak, jak to jest w całym dorosłym i pracującym społeczeństwie, do którego każdy ciężko pracujący nad zdobywaniem wiedzy student winien być zaliczony.”

JAK TŁUMACZYĆ Z POLSKIEGO NA NASZE?

Takim tytułem opatrzone „Kultura” artykuł Bogdana Czeski, który zastanawia się nad sposobami przekładania powieści Sienkiewicza na język filmowy. Ważny to problem, gdyż filmowcy niejednemu już prace nad filmowaniem niektórych Sienkiewiczowskich powieści. Czesko jest zdania, że dochodząca wierności utworom Sienkiewicza należy jednak korzystać z tego z zasobu wiedzy o świecie, który zna dzisiaj każdy, a którego nie mógł jeszcze znać Sienkiewicz. Dlatego nie można w przypadku adaptacji filmowych poddawać się wiernie tej warstwie filozofii czy światopoglądu pisarza, która nie odpowiada dzisiejszemu stanowi wiedzy o świecie.

LEKTOR